

MRO CZNY PRL

NIEWYJAŚNIONE ZABÓJSTWA



Przemysław Słowiński

Porwanie Bohdana Piaseckiego • Wampir ze Śląska • Zabójstwo
Jana Gerharda • Śmiertelne pobicia Stanisława Pyjasa i Grzegorza
Przemyka • Śmierć Księdza Stefana Niedzielaka i wiele innych

M R O C Z N Y P R L

NI EWYJAŚNIONE ZABÓJSTWA

Przemysław Słowiński

FRONDA

Okładka
Robert Kempisty

Korekta i redakcja
Agnieszka Muzyk

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

Skład, łamanie
Honorata Kozon

ISBN 978-83-8079-152-7

© Copyright PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
© Copyright for Fronda PL Sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydawca
Frona PL, Sp. z o.o.
Ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
Tel. 22 836 54 44, 877 37 35
Faks 22 877 37 34
e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofrona.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo
www.twitter.com/Wyd_Frona

SPIIS TREŚCI

Krakowski upiór WŁADYSŁAW MAZURKIEWICZ (1940-1957)	6
W styczniowy mroźny dzień ZABÓJSTWO BOHDANA PIASECKIEGO (1957)	34
Czas Wampira ZDZISŁAW MARCHWICKI (1964-1977)	66
Muchy BOGDAN ARNOLD (1964-1968)	116
Wyznaczysz dzień i godzinę swojej śmierci... ZABÓJSTWO JANA GERHARDA (1971)	138
Skorpion PAWEŁ TUCHLIN (1975-1987)	176
Sam spadł ze schodów... ZABÓJSTWO STANISŁAWA PYJASA (1977)	206
Zemsta po latach ZABÓJSTWA SIERŻANTA ZDZISŁAWA KAROSA I KSIĘDZA SYLWESTRA ZYCHA (1982, 1989)	236
Bestie ZABÓJSTWO GRZEGORZA PRZEMYKA (1983)	280
Śmiertelny upadek z... fotela ZABÓJSTWO KSIĘDZA STEFANA NIEDZIELAKA (1989)	320
Bibliografia	356

KRAKOWSKI UPIÓR

WŁADYSŁAW MAZURKIEWICZ

(1940 – 1957)

Kraków to gród magiczny. Miasto kawiarni o niepowtarzalnej atmosferze, renomowanych restauracji i tanich knajp, miasto jak żadne inne zakochane w tradycji, w szacunku dla przeszłości, w patriotyzmie i politykowaniu, a także w świętowaniu. Kraków ze starówką skupioną wokół najpiękniejszego rynku świata, gdzie wznosi się majestatycznie kościół Mariacki, na którego wieży trębacz od wieków wygrywa co godzinę hejnał. Gdzie stoją ogromne Sukiennice, w których można kupić najprzeróżniejsze cuda...

Kraków naukowców, artystów i studentów. Kraków pełen radczyń, profesorowych, mecenasowych, prezesowych i „państwa pułkownikostwa”. Miasto Wyspiańskiego, Matejki, Przerwy-Tetmajera i Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej. Kraków z tysiącem przepięknych kościołów. Kraków z Piwnicą pod Baranami i teatrem Słowackiego. Kraków z Uniwersytetem Jagiellońskim, z kopcem Kościuszki, Barbakanem, Bramą Floriańską i pałacem Biskupim przy ulicy Franciszkańskiej 3. Zaczarowane miasto, zaczarowana dorożka, zaczarowany koń...

Jak każde wielkie miasto na świecie, ma jednakże bajeczny Kraków i swoje drugie oblicze... Nocą wypływają tu na powierzchnię ryby głębinowe zbrodni i grzechu. Rozwijają swą działalność złodzieje, oszuści, prostytutki, kasiarze, mordercy i agenci poli-

cji. Śmierć i życie, nędza i bogactwo, brzydota i piękno istnieją tu obok siebie, połączone w jakiejś dziwnej, niewytłumaczalnej harmonii. Cywilizacja i barbarzyństwo na przemian wpadają sobie w ramiona i razem dosięgają szczytu.

Latem 1956 roku po Krakowie zaczęła krążyć osobliwa ballada „dziadowska”:

*Posłuchajcie ludzie strasznej opowieści,
Co się wam w głowach nijak nie pomieści,
O strasznym draniu o pięknym obliczu,
Mazurkiewiczu.*

Śpiewali ją artyści Teatru na Wozie, nawiązującego do tradycji trup jarmarcznych, występującego na ulicach podczas dorocznych Dni Krakowa. A bohater piosenki rzeczywiście strasznym draniem był, chociaż jego przydomek „morderca - džentelmen” lub w innym wariancie „morderca-elegant” – nie wziął się znikąd.

Władysław Mazurkiewicz był w mieście postacią dobrze znaną. Zawsze pachnący drogimi perfumami, elegancko ubrany, obracał się w najbardziej wytwornym towarzystwie. Jadał w najdroższych restauracjach i bawił się w popularnych nocnych kawiarniach. Można go było spotkać w „Jamie Michalika” na Floriańskiej, gdzie schodziła się cała tutejsza bohema, w „Noworolskim” – słynnym „Noworolu” odwiedzanym przez mieszczańską elitę Krakowa, w „Wierzynku” i „Mauritzu”, okupowanych przez arystokrację i miłośników najlepszej kuchni, a nawet u „Flakowicza” na Stolarskiej, gdzie przesiadywali wielbiciel motoryzacji. Zadawał tam szyku swoim oplem olympią, którym jeździł na wypoczynek do Zakopanego. Prywatny samochód był niezwykle ważnym elementem emploi tamtych czasów, stanowił nie tylko dowód zamożności, ale również świadectwo odpowiednich koneksji. Nikt nie domyślał się, do czego wykorzystywane było to auto.

Chętnie widziało pana Władka na swych salonach tradycyjne mieszczaństwo i przedwojenne ziemiaństwo, które po

wywłaszczeniu osiadło w Krakowie i któremu pomagał spieniężać resztki rodowych pamiątek: biżuterię, stare obrazy... Wielu ludziom proponował zresztą różne korzystne transakcje, pośredniczył w kupnie i sprzedaży wszystkiego, co cenne: skóry, obcych walut, kosztowności, antyków. Zajmował się szeroko pojętymi „interesami”, ale nikt dokładnie nie wiedział, z czego tak naprawdę żyje. Uważany był za dżentelmana, którego warto znać, duszę towarzystwa. Kobiety za nim szalały, a mężczyźni zabiegali o przyjaźń i cenne rady. Znajomi i sąsiedzi mówili o nim, że jest dobrze wychowany, uczynny i wrażliwy – często jeździł na grób swego psa, posadził tam nawet kwiaty. Jak zaświadcniają ludzie, którzy go znali, miał wrażliwą duszę, umiał docenić urodę architektury, uwielbiał piękne przedmioty i kochał przyrodę, szczególnie szkarłatne róże, dzięki czemu dziennikarze nadali mu później przezwisko „Morderca z kwiatkiem”.

Wytworny i zamożny, cieszący się opinią „porządnego obywatela”, zajmował luksusowe mieszkanie w centrum Krakowa, w kamienicy przy ulicy Biskupiej 14. Mazurkiewicz miał nienaganne maniery i znakomicie grał w brydża. Nikomu nie przychodziło do głowy, że ten stołujący się w Wierzyńku miłośnik kawioru to „krakowski upiór”. Na zdjęciach z prokuratorskich akt wygląda jak filmowy amant. Przypominał trochę gwiazdę starego kina Eugeniusza Bodo. Ciemne, zaczesane do tyłu włosy, biała koszula, krawat, idealnie skrojona tweedowa marynarka... Tą wytwornością i szykiem wyraźnie różnił się od współczesnych zapracowanych ludzi, harujących ciężko za grosze. Przez wiele tygodni proces Władysława Mazurkiewicza nie schodził z pierwszych stron gazet, elektryzując opinię publiczną w mieście i w całym kraju.

*

„Bomba pękła” pod koniec września 1955 roku, kiedy do warszawskiego szpitala na Solcu zgłosił się cierpiący od paru dni na dotkliwy ból głowy niejaki Stanisław Łopuszyński. Opowiadał

przy tym dosyć niezwykłą historię. Był otóż w Zakopanem, w towarzystwie znajomego inżyniera, z którym załatwiał grubszy interes. Uczciwszy transakcję większą ilością alkoholu, obaj panowie wybrali się samochodem w drogę powrotną do Krakowa. Inżynier zasiadł za kółkiem, zmorzony wypitym trunkiem Łopuszyński zasnął w fotelu obok.

Obudził go głośny huk. Była ciemna noc. Samochód stał w lesie na poboczu. W otwartych drzwiach pojazdu tkwił inżynier, który wyjaśnił koledze, że odgłos wziął się stąd, że wrzucił do wnętrza auta „żabkę”, jak nazywano niewielką petardę hukową. Po co? Dla zabawy, żeby go po prostu wystraszyć. Sprawę obrócono w żart, lecz będące rezultatem wybuchu silne bóle głowy nie dawały Łopuszyńskiemu spokoju. Po powrocie do siebie, do Warszawy, postanowił więc zgłosić się do szpitala.

Dyżurujący w szpitalu na Solcu doktor Witold Szczęśniak zarządził prześwietlenie głowy. Jakież było jego zdumienie, kiedy na zdjęciu rentgenowskim wyszło, że w głowie pacjenta tkwi jakieś obce ciało, przypominające pocisk z pistoletu. Pan Łopuszyński wylądował natychmiast na bloku operacyjnym, gdzie chirurdzy wyciągnęli mu ów przedmiot z czaszki. Zdumienie sięgnęło zenitu, gdy okazało się, że przedmiot wcale nie przypomina pocisku, lecz JEST pociskiem.

Nie trzeba było być wybitnie inteligentnym, żeby skojarzyć wszystkie fakty. Kiedy tylko pacjent doszedł jako tako do siebie, przy jego łóżku pojawiły się organa ścigania, w osobie posterunkowego Józefa Romanowskiego. Przede wszystkim milicjant zainteresował się osobą owego „dowcipnego” inżyniera.

– W zasadzie to niewiele mogę o nim powiedzieć – zeznał Zdzisław Łopuszyński. – Znam go od niedawna. Nazywa się Władysław Mazurkiewicz. Niedaleko cmentarza Rakowickiego w Krakowie, przy ulicy Marchlewskiego ma duży garaż, a w nim żelazne łóżko z materacem we wnęce za kotarą. Nocuje tam czasami, bo z żoną jest po rozwodzie.

„Z całokształtu przesłuchania wywnioskowałem, iż rzeczony Mazurkiewicz zachowuje się dziwnie i kombinuje” – zapisał

w przeznaczonym dla przełożonych raporcie posterunkowy Romanowski.

Z Warszawy do Krakowa wysłano natychmiast prośbę o pilne przesłuchanie Władysława Mazurkiewicza. Kiedy milicjanci zapukali do apartamentu na czwartym piętrze przy ulicy Biskupiej 14, gdzie Mazurkiewicz zameldowany był na stałe wraz z byłą żoną, dowiedzieli się od niej, że ten „gdzieś zniknął”.

– Od kilku dni nie odzywa się i nie daje żadnego znaku życia – oświadczyła żona, chociaż już była.

W ten sposób Mazurkiewicz stał się czwartym już z kolei mieszkańcem kamienicy, który w ostatnich latach zniknął bez śladu. Pierwszym był sąsiad Władysława z naprzeciwka, Jerzy de Laveaux. Po nim dosłownie rozplynęły się we mgłę jego żona, Jadwiga de Laveaux oraz siostra żony – Zofia Suchowa.

Milicjanci nabrali jednak podejrzeń, że pan Mazurkiewicz niekoniecznie zniknął, lecz – co bardziej prawdopodobne – ukrywa się przed nimi. Od tego momentu wypadki potoczyły się lawinowo. Następnego dnia rozesłali za nim listy gończe, jako za podejrzanym o usiłowania dokonania zabójstwa Stanisława Łopuszyńskiego. I tak 3 października 1955 roku rozpoczęło się śledztwo, którego początkowo nikt nie brał poważnie. Pan Władysław mordercą? To było nie do uwierzenia. Z zeznań ofiary wynikało jednak niezbicie, że niedoszłym zabójcą nie może być nikt inny, jak tylko szanowany powszechnie i lubiany w towarzystwie pan Władysław Mazurkiewicz. Początkowo śledczy pochodzili z dystansem do tych rewelacji. Trudno było im uwierzyć, że znany krakowski przedsiębiorca, cechujący się tak wysoką kulturą osobistą i znakomitą prezencją, mógł zdobyć się na „coś takiego”.

Pierwszym miejscem, któremu śledczy postanowili się uważniej przyjrzeć, był wspomniany przez niedoszłą ofiarę garaż przy ulicy Marchlewskiego (dziś Beliny-Prażmowskiego). Podczas przeszukania pomieszczenia uwagę milicji zwrócił jaśniejszy fragment podłogi. Rozkuto więc w tym miejscu beton i oto oczom zgromadzonych ukazały się dwa trupy w stanie daleko posuniętego rozkładu. Żarty się skończyły.

Właściciela garażu znaleziono dopiero 1 listopada w kawiarni hotelu Orbis w Zakopanem. Jak gdyby nigdy nic raczył się właśnie aromatyczną kawą ze śmietanką. Przewieziony do komendy Wojewódzkiej MO w Krakowie, początkowo zaprzeczał wszystkim faktom. Twierdził, że Łopuszyńskiego ktoś musiał napaść w Zakopanem, gdy po pijanemu wracał do hotelu. Wkrótce jednak, pod naporem dowodów, zmiękł. Na jaw wychodzić zaczęła powoli straszliwa prawda...

*

Władysław Mazurkiewicz urodził się 31 stycznia 1911 roku w Krakowie, w niezbyt zamożnej rodzinie. Ojciec, Leon, pracował w drukarni jako zecer, matka, Helena z domu Zur, snuła plany o lepszym życiu. Okazja do tego nadarzyła się wraz z poznaniem bogatego lekarza z Warszawy, Mariana K. Kilkuletni romans zaowocował porzuceniem przez Helenę męża i dziecka oraz wyjazdem z doktorem K. do stolicy. Nie znalazła jednak z nim wspólnego szczęścia, a być może społeczny awans nie zagłuszył w niej wyrzutów sumienia, bowiem 29 listopada 1920 roku popełniła samobójstwo w swoim pięknym apartamencie przy ulicy Chmielnej 10.

Opiekę nad dziewięcioletnim chłopcem przejął ojciec, wspomagany przez babkę. Władek nie sprawiał większych trudności wychowawczych, dobrze się uczył, podobnie jednak jak matka, wolał bujać w obłokach niż twardo stąpać po ziemi. Zaczytywał się w kryminałach i często uciekał do wyimaginowanego świata.

Po zdaniu matury, Mazurkiewicz dostał się na Wydział Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, na którym wykładali najwybitniejsi wówczas profesorowie, tacy jak między innymi: Adam Krzyżanowski, Juliusz Makarewicz, Rafał Taubenschlag, Adam Vetulani czy Władysław Wolter. Jednak praca w palestrze najwyraźniej nie była mu pisana. Przeszkodziło mu w tym jego gorące zamiłowanie do życia towarzyskiego. Zdecydowanie częściej niż na wykładach bywał w kawiarniach. Żeby znaleźć na to odpowiednie środki finansowe, po dwóch latach porzucił studia.

Ukończył trzyletnią szkołę poligraficzną i – podobnie jak ojciec – został drukarzem. Pracując od 1934 roku w Drukarni Narodowej, znajdował czas na nocne wojaże po krakowskich knajpach, kobiety i hazard.

A potem przyszła wojna. Władysław został powołany do wojska, wziął udział w kampanii wrześniowej, a po jej zakończeniu wrócił pod Wawel, na którym zasiadł tymczasem swoim tłustym tyłkiem generalny gubernator Hans Frank. Lata okupacji były dla „Pięknego Władka” prawdziwym eldorado, chociaż spora ilość wiadomości z tego okresu polega na zwykłych plotkach. To wtedy w każdym razie zaczął zbijać majątek. Handlował złotem, galanterią skórzaną, brylantami i sacharyną.

Jak zeznawali na późniejszym procesie świadkowie, posługiwał się dokumentami zaświadczającymi, iż jest... fryzjerem w krakowskim gestapo. On sam twierdził, że załatwiła mu je za łapówkę Barbara Gunderlach, volksdeutschka i kochanka szefa wydziału personalnego Geheime Staatspolizei (Tajnej Policji Państwowej) Arnolda Rudolfa, z którym dość blisko się zaprzyjaźniła. Barbara załatwiła mu również przepustkę upoważniającą do wyjazdów poza granice Generalnego Gubernatorstwa. Wspólnie podróżowali do Warszawy, Lwowa, Pragi i Berlina, gdzie handlowali czym się tylko dało, i co przynosiło odpowiedni zysk.

Mazurkiewicz podkreślał potem uparcie, że nigdy nie był konfidentem gestapo, a z Niemcami utrzymywał wyłącznie stosunki handlowe. Widząc go szusującego po ulicach dobrymi samochodami, mieszkańcy grodu Kraka nie mieli wątpliwości, że takie parady musiały zyskać akceptację hitlerowców. Tym niemniej wciąż zapraszali go na salony i traktowali z wielkim szacunkiem. Pan Władek przecież „dużo mógł”... Szeptali za jego plecami, że owszem, „ma koneksje”, ale przecież właśnie dzięki temu, tak wiele ważnych spraw można w tych trudnych czasach załatwić... Wspominano o burzliwych historiach miłosnych Mazurkiewicza, wystawnych przyjęciach, pijaństwach i orgietkach.

Z murów Wawelu tymczasem spływały czerwone flagi ze swastyką. Kraków stał się miastem zielonych mundurów i sza-

rych myszy, jak nazwano członkinie niemieckich formacji kobiecych. Miastem swastyk łopoczących na publicznych gmachach i hotelach, siedzibie komendantury i Gestapo. Miastem kolejek, kartek żywnościowych i godziny policyjnej. Miastem niemieckich patroli, żółtych gwiazd, alarmów, łapanek, aresztowań, obwieszczeń o egzekucjach i ausweissów ze złowrogą pieczęcią „kruka z pedałami”, jak nazywano hitlerowskiego orła. Kartkowe przydziały były bardzo skąpe. Najczęściej udawało się kupić kapustę lub brukiew.

A pan Władek podróżował, bawił się, żył pełną piersią. Zbratał się z zawodowymi szulerami, aferzystami i konfidentami. Coraz bardziej wciągał go wir nielegalnych interesów. Wkrótce kupił luksusowy apartament przy dzisiejszej ulicy Władysława Beliny-Prażmowskiego, na Osiedlu Oficerskim (po „wyzwoleniu” ulicy Juliana Marchlewskiego). Przez jego ręce przeszedł majątek niejednej rodziny żydowskiej. Mocno zaangażował się w interesy z Żydami z utworzonego przez Niemców w 1941 roku getta, którzy zbywali dobra w nadziei na ocalenie życia. Regularnie bywał za zwieńczonym łukami murem, w efekcie czego na przełomie lat 1942 i 1943 jego stan posiadania znów niesłychanie się zwiększył. Nade wszystko kochał pieniądze. Dla nich byłby w stanie zrobić dosłownie wszystko. Także zabić...

*

Kilka osób, z którymi zawierał transakcje handlowe, zamordował najprawdopodobniej jeszcze podczas okupacji. Tu jednak, prócz plotek, trudno znaleźć konkretną informację. Widać szybko uzmysłowił sobie, że handel staje się dużo bardziej opłacalny, gdy kontrahenci i wspólnicy umierają przed odebraniem pieniędzy, które się im obiecało.

Pierwszego zabójstwa dokonał podobno już w 1940 roku. Co najmniej dwóm niedoszłym ofiarom, które usiłował otruć cyjankiem potasu, udało się uniknąć śmierci, ale konsekwentnie milczały, w obawie o swoje życie. Jak doskonale wiedzą wszyscy czytelnicy powieści kryminalnych, cyjanek ma niezwykle

charakterystyczny zapach gorzkich migdałów. (Czy ktoś kiedyś wąchał gorzkie migdały i wie jak pachną?). Jest uniwersalnym lekarstwem na wszystkie choroby, likwiduje je skutecznie razem z chorym. Tam częstował zatrutą wymienionym specyfikiem herbatą lub przyprawioną nim kanapką, z deficytową wówczas wędliną. Kiedy ofiara wyzionęła już ducha, okradał ją, a obciążone kamieniami ciało wrzucał do Wisły. Później zapewniał sobie alibi, odwiedzając rodzinę zamordowanego i dopytując się o niego pod pozorem planowanej transakcji.

W 1943 roku Mazurkiewiczowi po raz pierwszy powinęła się noga. Albo raczej, mówiąc ściśle: prawie się powinęła.

Żyd Tadeusz Bommer był ukrywającym się w Krakowie oficerem Wojska Polskiego. Legitymował się dokumentami na nazwisko Ryszard Staniecki, co pozwoliło mu oficjalnie zameldować się w mieście. Zarabiał na życie, handlując złotem i dolarami. Pozyskane precjoza trzymał w skrytce u pani Dobrzańskiej na ulicy Kanonicznej, gdzie spotykali się handlarze i kolekcjonerzy. Któregoś dnia poznał tam Władysława Mazurkiewicza, któremu zaproponował sprzedaż dziesięciu złotych dolarówek i czterech austriackich dukatów.

16 marca wsiedli w samochód Mazurkiewicza, wiśniowego fiata, którym udali się za miasto, aby tam spokojnie, bez świadków, sfinalizować interes. Po pewnym czasie zatrzymali się, a Mazurkiewicz poczęstował swego kontrahenta kanapką z prawdziwą szynką i masłem, które w owych czasach widywało się równie często, co Eskimosów na pustyni. Bommer wbił zęby w aromatyczny miąższ, ale już po pierwszym kęsie poczuł dziwny zapach, który porównał później do aromatu gorzkich migdałów. Jednocześnie doznał drętwienia mięśni, zaczęły mu sztywnieć ręce i nogi. Zrozumiał, że został otruty. Przerażony wsunął machinalnie kanpkę do kieszeni i pozostawiwszy w samochodzie moneety, rzucił się do ucieczki.

Udało mu się jakoś dowiec do najbliższych zabudowań, gdzie poprosił gospodarzy o mleko, słyszał gdzieś bowiem, że może ono pełnić rolę odtrutki. Poczuvszy się trochę lepiej, wrócił do

domu. Wieczorem jednak znów dopadły go mdłości. Wezwał więc pogotowie i pojechał sanitarką do szpitala. Nadgryziona kanapka trafiła do krakowskiego Instytutu Ekspertyz Sądowych, gdzie doktor Jan Zygmunt Robel znalazł pod plastrem szynki biały proszek, który bez cienia wątpliwości zidentyfikował jako sól potasową kwasu cyjanowodorowego, zwaną powszechnie cyjankiem. (W trakcie późniejszego śledztwa Mazurkiewicz ujawnił, że truciznę ukradł z Urzędu Probierczego w Krakowie).

Panu Bommerowi udało się jakoś ubłagać lekarzy, żeby nie zawiadamiali policji. Obawiał się, że ta mogłaby odkryć, iż nie jest tym, za kogo się podaje. Monet i tak by nie odzyskał, wyładowałby natomiast w Auschwitz. Sam osobiście udał się do Mazurkiewicza, żeby odzyskać należność za skradzione mienie. Pan Władek próbował najpierw kręcić, tłumaczył, że przecież przekazał mu pieniądze, które pan Tadeusz zapewne zgubił, oddalając się niespodziewanie, bez uprzedzenia i uzasadnionej przyczyny, od samochodu. Naciskany, długo się jednak nie opierał i w końcu rozliczył z niedoszłą ofiarą.

Odzyskawszy pieniądze, Bommer ukrył się gdzieś w mysiej dziurze i do końca okupacji nie podzielił z nikim informacjami na temat tego, kim w rzeczywistości jest Władysław Mazurkiewicz. Przekonany był, że jego kontrahent pracuje dla gestapo. Po wojnie widział go kilka razy na ulicy, ale słysząc o jego znakomych kontaktach z bezpieką, również schodził mu z drogi. Bommer, były akowiec, znów był na bakier z władzą, Mazurkiewicz – przeciwnie. Odwagi nabrał dopiero gdy w 1956 roku „Piękny Władzio” został aresztowany. Zgłosił się wtedy dobrowolnie jako świadek podczas toczącego się procesu.

Po tak łatwym uniknięciu większych kłopotów, związanych z nieudany otruciem Tadeusza Bommera, pan Władek poczuł się już całkowicie bezkarny. Jeszcze w tym samym, 1943 roku, w podobny sposób rozprawił się z innym partnerem w interesach, Wiktorem Zarzeckim. Tym razem skutecznie. Nauczony poprzednią wpadką, wsypał cyjanek nie do kanapki, lecz do

zakropionej solidnie wódką gorącej herbaty. (Trucizna łatwo rozpuszcza się w wodzie, ulegając przy tym częściowej hydrolizie z wydzieleniem cyjanowodoru nadającego jej charakterystyczny zapach gorzkich migdałów). Ukradł ofierze 1200 dolarów, które przegrał jeszcze tej samej nocy w pokera. Zwłoki przeniósł na łódkę i zatopił w Wiśle. Wyciągnął również wnioski z nieudanej próby morderstwa i przyjął nową taktykę. Zamiast zatrutych kanapek czy herbaty postanowił w przyszłości sięgnąć po zdecydowanie pewniejszy sposób zabijania – broń palną.

13 marca 1943 roku nad ranem, do otoczonego oddziałami Sonderdienstu krakowskiego getta wkroczyły oddziały SS dowodzone przez Sturmbannführera Wilhelma von Haase. Osiem tysięcy Żydów uznanych za zdolnych do pracy zostało przeniesionych do obozu w Płaszowie. Dzieci do czternastego roku życia miały pozostać w getcie. Amon Göth, komendant obozu, obiecywał, że zostaną sprowadzone, kiedy tylko będą gotowe przeznaczone dla nich baraki. Nie wszyscy rodzice mu uwierzyli. Wielu próbowało przemycić dzieci ukryte w walizkach i tobołkach. By udaremnić te zamiary, Niemcy dźgali bagaże bagnietami. Około godziny szesnastej z getta wyruszył pochód ustawionych piątkami Żydów. Popychani i bici przez esesmanów, przeszli ulicami Limanowskiego i Wielicką do Płaszowa.

Następnego dnia, pozostałym mieszkańcom getta kazano się zebrać na placu Zgody. Niemcy przeszukiwali domy. Ukrywających się mordowali na miejscu. Zgromadzonych załadowano do aut ciężarowych, które – eskortowane przez esesmanów na motocyklach – pojechały do obozu koncentracyjnego Auschwitz. Około godziny piętnastej na placu Zgody zostało jeszcze kilkaset osób, które nie zmieściły się do ciężarówek. Wszystkich pognano do obozu w Płaszowie, gdzie zostali tego samego dnia rozstrzelani. Z niemal siedemdziesięcioletniej społeczności żydowskiej w Krakowie wojnę przeżyło około tysiąc osób.

Znalazły się i takie osoby, które podczas deportacji Żydów do Auschwitz zbiły fortunę, grabiąc na potęgę ich mienie. Czy był wśród nich Władysław Mazurkiewicz? Wskazują na to liczne po-

szlaki, ale twardych dowodów brak. Kilkoro zeznających później na procesie mordercy świadków pamiętało, że po likwidacji krakowskiego getta u „Pięknego Władzia” pojawiła się spora ilość wartościowych precjozów ze złota, platynowe bransoletki i kilka pierścionków z diamentami. Sam zainteresowany, siedząc już na ławie oskarżonych, zapytany o kontakty z Niemcami, odpowiedział: „Nie każdy mógł brać udział w zamachu na dowódcę SS w Generalnej Guberni, generała Wilhelma Koppego, podkładać bomby i malować mury”. Po czym z rozbrajającą szczerością dodał: „Ja się do tego nie nadawałem”.

*

18 stycznia 1945 roku dowodzone przez marszałka Iwana Stiepanowicza Koniewa wojska 1 Frontu Ukraińskiego zajęły Kraków. Nagle powietrze zaczęło drżeć, przechodnie rozpierzchli się po bramach, z niepokojem spoglądając w górę. Szyby brzęczały coraz głośniejsze, chociaż na gładkim niebie nie było widać żadnego samolotu. Wtem, w ulice wjechały motocykle żandarmerii. Huk zbliżył się na tyle, że dało się rozróżnić ryk motorów, jazgot i szcęk żelaza. Od wschodu nadjechała kolumna wozów pancernych, dział samochodowych i zmotoryzowanej piechoty. Huk przenikał ciała, zmuszał je do poddania się ogłuszającemu rytmowi łoskotu. Ludzie z przerażeniem patrzyli na ten przepływ żelaza i stali z czerwonymi gwiazdami oraz na żołnierzy, jakby z tej samej materii, co sprzęt, nieludzko nieruchomych. Jeden okupant zmieniał drugiego. Boże zlituj się nad Rzeczpospolitą!

W nowej, powojennej rzeczywistości Mazurkiewicz rozpoczął pracę jako instruktor jazdy, został również... ekspertem sądowym. Przygotowywał dla wymiaru sprawiedliwości orzeczenia z zakresu motoryzacji, jeździł wraz z milicjantami na miejsca wypadków drogowych. Powszechnie tytułowano go w związku z tym „panem inżynierem”, czemu – przez grzeczność zapewne – nie zaprzeczał. Pod koniec 1947 roku ożenił się z Heleną Żyłą i zamieszkał w przestronnym mieszkaniu przy placu Biskupim.

Morderca doskonale rozumiał, że kluczem do bezkarności są dobre relacje z władzami. Współpraca ze służbami, podobnie jak w czasach okupacji, nie zaciążyła na jego reputacji. Przeciwnie, kolejny raz przyczyniła się tylko do umocnienia jego pozycji. Do dziś przypuszcza się, że Mazurkiewicz utrzymywał bliskie kontakty z UB, a może nawet z NKWD, mówiono nawet, że był informatorem bezpieczeństwa. Płotka była prawdopodobnie fałszywa (próbujący zweryfikować ją historycy IPN nie natrafili na żadne dokumenty, które jakkolwiek by ją potwierdzały) i nie można wykluczyć, że pochodziła od samego Mazurkiewicza. Wielu traktowało ją jednak bardzo poważnie i w rezultacie nawet jeśli ktoś wiedział coś nieoś o jego „brzydkiej tajemnicy”, bał się dzielić tą wiedzą z organami ścigania. W tamtych czasach ludzie często znikali bez śladu i lepiej było się tym nie interesować. Niektórzy podejrzewali później, że lista ofiar „krakowskiego upiora” nie była przypadkowa i zabijał z polecenia władz.

Latem 1945 roku zamordował kolejnego człowieka...

Z Władysławem Brylskim umówił się na transakcję handlową w centrum Krakowa. Stamtąd pojechali jego samochodem na Bielany, w stronę ulicy Konarowej, gdzie wznosi się kościół Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny i erem kamedułów. Zabójca zdołał przekonać kontrahenta, że jeden z zakonników ma do sprzedaży większą ilość dolarów. Wjeżdżali na szczyt Srebrnej Góry w południowo-zachodniej części Lasu Wolskiego, nad doliną Wisły, kiedy Mazurkiewicz odwrócił się do pasażera i powiedział:

- Niech pan spojrzy w prawo i zobaczy, jak pięknie wyglądają w słońcu nasze Tatry.

Kiedy zagadnięty odwrócił się, Mazurkiewicz sięgnął do kieszeni po pistolet i strzelił mu w skroń. Następnie zatrzymał pojazd na poboczu i przeszukał ubranie zabitego. Znalazł jedynie sto złotych. Ciało przewiózł na brzeg Wisły, lecz nie mógł się go pozbyć, bowiem wokół kręciło się pełno korzystających z pięknego dnia amatorów słońca i kąpieli. Postanowił więc po-

czekać. Rozebrał się, wyciągnął z bagażnika koc i ułożywszy na nim czekał spokojnie, aż zrobi się ciemno. Dopiero wtedy wsadził zwłoki do przygotowanego wcześniej worka, obciążył kamieniami i zatopił.

Trzy miesiące później uderzył ponownie. Tym razem na ofiarę upatrzył sobie handlarza walutą, Józefa Tomaszewskiego. Tego zastrzelił w swoim garażu przy ulicy Beliny-Prażmowskiego, obrabował z pieniędzy i rozebrał. Nagie zwłoki wyrzucił z samochodu pod Alwernią. Używał pistoletu Walther PPK kalibru 7,65 mm, przy ostatnich dwóch zabójstwach natomiast (o których będzie jeszcze mowa) oraz przy próbie pozbawienia życia Stanisława Łopuszyńskiego posługiwał się Waltherem PP kalibru 9 mm.

Przy okazji zabójstwa waluciarza znowu otarł się o wpadkę. Nieszczęśliwie zakopał auto w przydrożnym rowie. Ściągnięci na szybko chłopcy pomogli mu wydobyć pojazd, ale zobaczyli przy okazji, jak wyrzuca poplamione krwią ubranie. Któryś zapamiętał nawet numer rejestracyjny samochodu. Milicja nie miała najmniejszych problemów z ustaleniem właściciela. Mazurkiewicz kręcił i plątał się w zeznaniach, podjęto więc decyzję o jego zatrzymaniu. Trafił za kratki, lecz wypuszczono go po kilku dniach. Śledztwo nadzorował jego dobry kumpel, prokurator Edward Jaśko, więc szybko je umorzono, przyjmując, że świadkowie pomylili się, podając którego dokładnie dnia widzieli podejrzany pojazd. Zrabowane Józefowi Tomaszewskiemu 220 tysięcy złotych morderca wydał na grę w karty, resztę na honoraria dla adwokatów.

*

Pod koniec lat czterdziestych Mazurkiewicz znalazł pracę w Polskim Czerwonym Krzyżu. W ramach tego zatrudnienia zaczął podróżować po Europie i wyszukiwać w różnych krajach Polaków rozważających powrót do kraju. Umacniał ich w tym przekonaniu, pomagał załatwiać niezbędne formalności, a następnie organizował drogę do ojczyzny. Przy okazji handlował na wielką

skalę walutą, przemycał przez granicę kosztowności i nawiązywał romanse.

Zapewne to właśnie te przygodne związki stały się przyczyną rozwodu z żoną, o który wniosła pani Helena Mazurkiewicz na początku lat pięćdziesiątych. Do tej pory, jak twierdzili na procesie sąsiedzi: „małżeństwo było bardzo zgodne, nigdy się nawet nie kłócili”. Jednak nawet po orzeczeniu rozwodu pozostawali w jak najlepszych stosunkach. Pani Helena robiła z byłym już małżonkiem różne interesy i przyjaźniła się z jego kochankami. Do końca zachowała też dobre zdanie o swoim Władku i nawet przed obliczem sprawiedliwości nie powiedziała o nim ani jednego złego słowa. Chyba dlatego właśnie aktorzy Teatru na Wozie występowali po Krakowie niezbyt zgodnie ze stanem faktycznym:

*(...) A jeśli która dać mu nie chciała,
Korali, pereł, czy innej mamony,
Wracał do żony.
Ona go zawsze czule przyjmowała,
Różne cukierki wnet jemu dawała,
A kto skosztował z tej ich apteki,
Zasnął na wieki.¹*

Współczesny Kraków różni się od tego miasta z przełomu lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Przede wszystkim atmosferą. To były czasy terroru bezpieczeństwa, politycznych procesów i wszechobecnego strachu. Powstawał jak mgła: kłębił się, rozpląwał, potem ginał. Przeważnie ze świtem. W zatrutym powietrzu wisały wściekłość i nienawiść. Były to lata, kiedy dojrzewało się szybko, a dzieci, które ledwo odrosły od ziemi, miały już spojrzenie starych ludzi. Był to jednak również okres ciemnych interesów, pokątnego handlu i bujnego życia towarzyskiego. Przy odrobienie bezwzględności i dobrych kontaktach, łatwo można było się wzbogacić.

¹ Helena Mazurkiewicz pracowała w aptece przy ulicy Retoryka. Śledczy podejrzewali, że to ona dostarczyła Mazurkiewiczowi cyjanek i kobieta przesiedziała niewinnie kilka miesięcy za kratkami.

Na rogu Poselskiej i Grodzkiej znajduje się do dzisiaj kamienica, w której można było w opisywanym czasie spędzić miły wieczór przy kartach i wódce oraz liczyć na towarzystwo atrakcyjnych, młodych kobiet. Spotykali się tam panowie z towarzystwa, by pod osłoną nocy oddawać się zakazanym przyjemnościom. Bywali tam lekarze, prawnicy, ale też agenci UB i wszelaka inna swołocz. Pojawiał się również Władysław Mazurkiewicz – zawsze jak spod igły, zawsze szarmancki, czujący się w tej atmosferze jak ryba w wodzie. Brylował, stawiał kolejki i załatwiał różne interesy, zazwyczaj szemrane.

Trudne lata początków komunistycznej Polski wzmogły jeszcze krakowski spleen i ci spośród mieszkańców królewskiego grodu, którym udało się zachować jakiś kapitał, na potęgę szukali rozrywki.

„Domy publiczne, kabarety czy nocne kluby miały stałe i liczne grono bywalców, ale istniały lokale, które cieszyły się jeszcze większą estymą, budząc przy tym znacznie silniejsze emocje – piszą Marta Panas-Goworska i Andrzej Goworski w *Balladzie o mordercy z kwiatkiem*. – Były to owe barwnie opisane przez Boya-Żeleńskiego domy gry. Nie zginęły one w czasie drugiej wojny światowej, jak i tuż po niej, i mimo że oficjalnie zakazane, nigdy nie świeciły pustkami. Mało tego, hazard okazał się najbardziej egalitarną z rozrywek i gromadził ludzi, którzy na co dzień nie podaliby sobie ręki. Byli więc wśród graczy zarówno pozbawieni majątków ziemianie, jak i krakowskie mieszcuchy. Naprzeciw bogatych reprezentantów palestry czy lekarzy do kart zasiadali dorobkiewiczze, szmalcownicy, a bywało, że i niemieccy oficerowie. Tych po latach okupacji zastąpili ubecy, którzy również lubili się zabawić.

I tak oto w nastrojowych wnętrzach mieszczańskiego salonu czy też w obskurnej piwnicy spotykali się miłośnicy życia i z kartami w jednej ręce i kieliszkiem wódki w drugiej rozgrywali pojedynki. Nagrodą dla zwycięzcy był piętrzący się stos młynarek (tak potocznie nazywało się pieniądze funkcjonujące w Generalnym Gubernatorstwie) bądź polskich złotych.

Za plecami rozemocjonowanych mężczyzn gromadziły się zaś sprzedajne damy, albo – w przypadku, gdy gościny udzielali nobliwi prokuratorzy czy lekarze – ich eleganckie żony serwujące drobne przekąski.

Gracze pojawiali się i znikali. Po wielu pozostały tylko historie ich roztrwonionych majątków, jednak prawdziwymi królami owych zakazanych przybytków byli ludzie, którzy hazard mieli we krwi. Ich niekwestionowanym przywódcą był pan w średnim wieku o urodzie amerykańskiego amanta, zawsze w doskonałe skrojonym garniturze i z manierami światowca. W latach 40. i 50. jego nazwisko znali wszyscy co bardziej znaczący ludzie w Krakowie i każdy wiedział, że większego *bon vivanta* niż on, Władysław Mazurkiewicz, zwany w towarzystwie «pięknym Władziem», próżno by szukać”.

Ale na karty, luksus, dziwki, kochanki i obiadki w Wierzyńku potrzebne były pieniądze. Pan Wladek zmuszony był kontynuować swoją morderczą działalność z czasów nazistowskiej okupacji.

*

Francuski ród de Laveaux osiadł w Polsce w XVIII wieku. Dostarczył nowej ojczyźnie tak wybitnych postaci jak malarz Stanisław Ludwik de Laveaux (1868-1894), jeden z ciekawszych artystów Młodej Polski – którego narzeczoną, Marię Mikołajczykównę, Stanisław Wyspiański przedstawił w *Weselu* jako Marysię, jego samego zaś jako Widmo, czy też generał Ludwik de Laveaux (1891-1969) – dowódca I batalionu 4 Pułku Piechoty Legionów. Władysławowi Mazurkiewiczowi rodzina dostarczyła natomiast aż kilku ofiar do obrabowania.

Jerzy de Laveaux dorobił się majątku na dostawach dla niemieckiej armii. Teraz układał się z młodą komunistyczną władzą, robiąc pod jej okiem grube interesy. Zwano go „Królem czarnego rynku”. Jego pechem było to, że mieszkał przy ulicy Biskupiej 14, vis-à-vis Mazurkiewiczów. (Budynek stoi do dziś – na dole znajduje się zakład fryzjerski, na balkonach rosną kwiaty. Nic nie wskazuje na mroczną przeszłość tego miejsca).

Wiosną 1945 roku odwiedził pana Jerzego pewien sowiecki oficer, ofiarując sprzedaż kolekcji znaczków pocztowych, diabli wiedzą komu zrabowanych. De Laveaux nie miał zielonego pojęcia, ile coś takiego może być warte. Wtedy wpadł mu do głowy brzemienne w skutkach pomysł. Postanowił mianowicie zapukać do drzwi sąsiada, pana Władka, o którym mówiono, że zna się na interesach jak mało kto i że z niejednego pieca chleb jadał.

– Na znaczkach się nie znam, handluję czym innym – odrzekł Mazurkiewicz.

– To znaczy czym? – dociekał pan Jerzy.

– Czym się da – usłyszał odpowiedź. – Niech pan wpadnie, jeśli będzie pan potrzebował sprzedać walutę, złoto czy antyki.

– A skórę? – zapytał de Laveaux.

– Jaką skórę?

– Skórę do produkcji butów.

– Z tym to do szewca, drogi panie.

– Który szewc ma dziś skórę, szanowny sąsiedzie? – westchnął ciężko Jerzy. – To deficytowy towar. A z pewnością to już nie całą ciężarówkę...

– Pan chce kupić, czy sprzedać? – w oku pana Władka pojawił się błysk zainteresowania.

– Kupić, miły panie, kupić. Kroj mi się taki jeden większy interes.

– No to jak się panu już wykroi, to niech pan da znać. Spróbujemy coś znaleźć.

Kilka dni później, 29 maja Jerzy de Laveaux zgłosił się do Mazurkiewicza z konkretną propozycją nabycia większej ilości skóry.

– Znam pewnego zakonnika na Bielanych, który dysponuje odpowiednimi zapasami – zapewnił go „Piękny Władek”.

W ustalonym dniu zajechał po króla czarnego rynku swoim oplem. Ruszyli w stronę klasztoru Kamedułów.

– Pieniądze pan ma, oczywiście – upewnił się Mazurkiewicz.

De Laveaux nie odpowiedział. Sięgnął tylko do kieszeni marynarki i wyciągnął stamtąd banknot o nominale tysiąca dolarów.

- Tyle powinno chyba wystarczyć.

- Rzadki widok - mruknął Władysław, przyglądając się uważnie banknotowi.

Rzeczywiście, był to niezwykle rzadki okaz, z emisji dokonanej przez skarż USA w 1890 roku. Na awersie widniał portret generała wojsk Północy w wojnie secesyjnej George'a Meade. Na rewersie umieszczono nominał wypisany dużymi grubymi zielonymi cyframi - w tym trzema zerami, które zapewniły banknotowi popularną nazwę „wielkiego arbuza” (Grand Watermelon).

Mazurkiewicz zatrzymał auto na wzniesieniu.

- Silnik nierówno pracuje - wyjaśnił na pytające spojrzenie swego pasażera. - Może trzeba dolać oleju.

Okrążył pojazd i będąc za plecami pana de Laveaux, strzelił mu w tył głowy. Ciało włożył do bagażnika i pojechał nad Wisłę. Musiał trochę poczekać, aż odpłyną barki wydobywające piach z dna rzeki. Potem zapakował trupa w przygotowany wcześniej worek, dodał solidną porcję kamieni i wrzucił do wody.

Żona ofiary, pani Jadwiga de Laveaux, przedwojenna fordanserka, zachodziła w głowę, gdzie też podział się jej małżonek. Z pytaniem tym zwróciła się również do sąsiada z naprzeciwka, sympatycznego pana Władka. Mazurkiewicz zdołał wmówić jej, że Jerzy uciekł najprawdopodobniej na Zachód. Podobno nosił się z tym zamiarem już od dłuższego czasu. Wmówił tak skutecznie, że któregoś wieczoru kobieta nie wróciła już do swego mieszkania, oddając sąsiadowi - jak to mówiono dawniej - swoje wdzięki.

Upłynęło kilka lat. Starzejąca się nieuchronnie pani Jadwiga mieszkała dalej w swym apartamencie przy ulicy Biskupiej, wiodąc życie bogatej rentierki. Opuszczając ją, małżonek zostawił jednak sporo poukrywanej tu i ówdzie gotówki i wiele cennej biżuterii, żeby nie musiała martwić się o przyszłość. Dołączyła do niej przybyła z ZSRS owdowiała siostra, Zofia Suchowa. Potrzebujący wciąż pieniędzy Mazurkiewicz bezbłędnie wyczuł, gdzie są konfitury.

Po dłuższych namowach zdołał przekonać swą kochankę, że w tak niespokojnych czasach, w których przyszło im żyć, nie-

bezpiecznie jest trzymać kosztowności w mieszkaniu. Przede wszystkim było to nielegalne i w razie ewentualnego przeszkania groziło konfiskatą. Sympatyczny pan Władek zaproponował więc, żeby zdeponowała precjoza w jego tajnym schowku. Po konsultacji z siostrą pani de Laveaux uznała to za dobry pomysł.

A czasy rzeczywiście były niespokojne. 5 marca 1953 roku o godzinie 21.50 przestało bić serce Józefa Stalina. Okazało się, że Wielki Językoznawca, Wódz i Nauczyciel ludzi pracy z całego świata, Koryfeusz Nauki, Największy Geniusz Wszystkich Czasów, etc. etc., wcale nie był – jak sądzili niektórzy – nieśmiertelny. W Związku Sowieckim rozpoczęły się krwawe walki o schedę po nim. Ludzie w Polsce liczyli na zmiany, ale te dopiero miały nadejść. Jak na razie ubecy wciąż rozbijali się po ulicach miast czarnymi „Cytrynkami”². Nadal o świcie do drzwi wielu mieszkań rozlegało się głośne pukanie. Skazani „za politykę” dalej gnili w więzieniach.

*

Cenna biżuteria trafiła wkrótce w ręce Mazurkiewicza, który spieniężył ją natychmiast i starym zwyczajem przehulał w karty. W sumie przejął nie tylko sporą ilość biżuterii, ale także 470 dolarów w banknotach, 160 dolarów w złotych, trzy futra, dywany i srebrną zastawę stołową. Niebawem jednak kobieta zaczęła się domagać zwrotu depozytu. Pan Władek umówił się z nią na 16 maja 1955 roku w swoim garażu przy ulicy Marchlewskiego, gdzie jakoby mieściła się skrytka. Wcześniej, rozkuł betonową podłogę pomieszczenia i wykopał głęboki na metr dół.

Pięćdziesięcioletnia Jadwiga de Laveaux zjawiła się tam około godziny osiemnastej. Gospodarz przyjął ją z wielką galanterią, poczęstował kawą i ciastkiem. Potem poprosił, żeby wsiadła do samochodu, gdyż musi go wyprowadzić z garażu, aby odsłonić

² Citroën Traction Avant, zwany popularnie „Cytrynką”, produkowany był przez firmę Citroën w latach 1934-1957. Samochód chętnie wykorzystywany był przez gangsterów (stąd znany był w Europie jako „Gangstalimuzine”), potem także policję i Służby Państwowe, w tym po II wojnie światowej przez polskie Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Cechą charakterystyczną tego modelu Citroëna był wielki emblemat marki umieszczony na całej szerokości kraty chłodnicy.

skrytkę w podłodze. Kiedy tylko pani de Laveaux zajęła miejsce, obszedł samochód i od tyłu wypalił jej w głowę. Badacze dziejów „krakowskiego upiora” twierdzą, że Mazurkiewicz miał słaby charakter, był zbyt nerwowy i wrażliwy, by podczas zadawania śmieci stanąć twarzą w twarz z ofiarą. Ciało zawinął w dywan i wrzucił do przygotowanego wcześniej dołu. Ponieważ obawiał się, że o wyprawie Jadwigi po depozyt mogła zostać poinformowana jej siostra, postanowił również pozbyć się niewygodnego świadka. Zadzwo nił więc do Zofii Suchowej.

- Pani siostra źle się poczuła - powiedział. - Prosi, aby pani przyszła.

Posprzątał pomieszczenie i czekał. Suchowa przyszła tuż po dwudziestej drugiej.

- Jak ona się czuje, biedaczka? - załamała ręce.

- Na szczęście już lepiej - uspokoił ją. - Leży tam, w alkwie, za kotarą.

Gdy kobieta odwróciła się, by odsłonić kotarę, zaszedł ją od tyłu i strzałem w potylicę pozbawił życia. Ciało również wrzucił do dołu i zalał betonem.

Zapewne zabijałby dalej, gdyby nie opisana wcześniej, nieudana próba pozbawienia życia Stanisława Łopuszyńskiego 26 września 1955 roku, od którego przyjął pieniądze za kilka cennych zegarków. Kiedy jednak Łopuszyński zjawił się w Krakowie po towar, Mazurkiewicz zaczął piętrzyć problemy. A to musiał wymienić złotówki na dolary, a to dostawca nie dotarł lub na jakiś czas przepadł bez wieści. Prosił o wyrozumiałość, mówił, że nie ma już gotówki, i na poczet przyszłego rozliczenia przekazał handlarzowi złotą omegę (zrabowaną innej ofierze) oraz swego mocno sfatygowanego już opla.

Remedium na te „chwilowe kłopoty” był niekończący się karnawał. „Piękny Władzio” po przejęciu pieniędzy na zegarki zabierał warszawiaka do najlepszych krakowskich lokali, a następnie zawiózł do Zakopanego. W drodze powrotnej strzelił mu od tyłu w głowę z pistoletu. Szczęśliwie dla ofiary, kula zatrzymała się na czaszce. Huk i nagły ból obudziły pana Stanisława. Mazurkiewicz

momentalnie ukrył pistolet i wytłumaczył, że chciał tylko zrobić dowcip, więc rzucił w pobliżu petardę, Przedsiębiorę ogarnęła złość, ale nie zorientował się, co się przed chwilą wydarzyło! Ból głowy sprawił, że postanowił udać się do szpitala...

Wszędobylscy dziennikarze odkryli, że ten przedsiębiorczy człowiek pozbierał się po traumatycznym spotkaniu z „krakowskim upiorem” i dwie dekady później przyodział całą Polskę w produkowane przez siebie najmodniejsze okulary przeciwsłoneczne z obowiązkową naklejką „Itali” lub „France”.

Władysław Mazurkiewicz trafił w końcu tam, gdzie jego miejsce, to znaczy do więzienia. Zabijał w Krakowie przez piętnaście lat. Życie straciło sześć osób, dwie cudem przeżyły. Wiadomo, że w postępowaniu przygotowawczym sformułowano przeciwko niemu aż trzydzieści zarzutów, ale z większości musiano się później wycofać, ponieważ nie zdołano zebrać wystarczająco silnych dowodów na ich poparcie. Ostatecznie więc w akcie oskarżenia znalazło się ich tylko osiem. Sześć dotyczyło zabójstwa, dwa – usiłowania zabójstwa.

*

Proces Mazurkiewicza rozpoczął się 6 sierpnia 1956 roku przed Sądem Wojewódzkim w Krakowie. Odbывał się w wielkiej sali oznaczonej numerem 14, zwanej kolumnową. Przewodniczył sędzia Tadeusz Migdał. Dwadzieścia trzy lata wcześniej, w najgłośniejszym procesie II Rzeczypospolitej została tu skazana za zabicie swojej wychowanki Rita Gorgonowa.

Choć był dopiero sierpień, w powietrzu już czuć było zapach tego, co potem nazwano „Polskim Październikiem” – zapowiedź wypuszczenie na wolność głębokiej liberalizacji systemu politycznego, której efektem stało się między innymi wypuszczenie na wolność części więźniów politycznych i duchowieństwa, w tym kardynała Stefana Wyszyńskiego. Odwilż była następstwem śmieci Stalina i związanych z nią zmian w Związku Radzieckim, ujawnieniem tajnego referatu Nikity Chruszczowa na temat stalinowskich zbrodni, wygłoszonego 25 lutego 1956

na XX Zjeździe KPZR, tajemniczej śmierci Bolesława Bieruta 12 marca tego roku w Moskwie, wydarzeń poznańskich w czerwcu i dojścia w Polsce do władzy nowej ekipy rządowej pod przywództwem Władysława Gomułki.

W Chorzowie trwały w tym czasie ostatnie przygotowania do otwarcia gigantycznego Stadionu Śląskiego, w Krakowie Tadeusz Kantor uruchomił awangardowy Teatr Cricot 2, a Piotr Skrzynecki Piwnicę pod Baranami. W Warszawie otwarto klub studencki Stodoła, Telewizja Polska wyemitowała premierowe wydanie pierwszego polskiego talk-show *Tele-Echo*. 15 kwietnia władze ogłosiły amnestię (lecz nie dla Mazurkiewicza), skazany na karę dożywotniego pozbawienia wolności pilot myśliwski Stanisław Skalski został uwolniony i zrehabilitowany, aresztowano pierwszych funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa, wiceministra Romana Romkowskiego i dyrektora X Departamentu Anatola Fejgina. W Sopocie odbył się I Festiwal zakazanej dotąd muzyki jazzowej. Zapewne tylko ze względu na tę odwilż, artyści Teatru na Wozie ośmielali się śpiewać dalszą część *Ballady o strasznym draniu*:

*Nie działało się to, za czasów sanacji
Ale w ludowej naszej demokracji
I władzy w ręku nie dzierżyły pany
Lecz świeckie organy.
Dzisiaj milicję wybieramy z ludu,
Nie szczędzi ona ni pracy ni trudu,
Zlikwidujemy przy niej wszystkie nasze troski
I kult jednostki.*

Wtórowały im w Krakowie autentyczne dziady, brzdąkając na mandolinach i zawodząc:

*Posłujacież ludzie, o tem draniu okrutnem
Co niewinne swe zgładził kohankie
A jej siostrę zastrzelił, trupy zalał betonem*

*W Krakowie jednym letniem porankiem
 Mazurkiewicz mu było, a Władysław na imię
 Dolarami handlował w kawiarni
 Piękną miał lemuzynę, życie lekko mu płynie
 W Zakopanem czy innej Jastarni.
 Kobiet pełno jest przy niem, w każdym mieście ma lube,
 On je kocha a potem morduje
 I nie czepia się jego prokurator czy UB
 Za sędziego on nawet pracuje.*

Aby dotrzeć do gmachu Sądu Wojewódzkiego przy ulicy Poselskiej, trzeba było wcześniej przedrzeć się przez tłumy zgromadzone przy Grodzkiej. Ludzie przyszli zobaczyć na własne oczy tego, o którym przez ostatnich kilka miesięcy czytali we wszystkich gazetach i słuchali w radiu. Atmosfera była napięta, tłum złorzeczył mordercy, złościł się też, że milicja zajmowała się polowaniem na akowców, zamiast chronić społeczeństwo przed „takimi bydlakami”.

*

Stały adwokat Mazurkiewicza, pięćdziesięcioletni Henryk Wallisch zrezygnował z jego obrony po odnalezieniu zwłok Jadwigi de Laveaux i jej siostry. Argumentował, że nie pozwala mu na to sumienie. Zadania podjął się prawie osiemdziesięcioletni (ur. 6 grudnia 1873 roku) mecenas Zygmunt Hofmokl-Ostrowski. Wcześniej zyskał sobie sławę jako obrońca karny obdarzony niezwykłym talentem oratorskim, ale także wybuchowym temperamentem.

Jeszcze przed wojną, w procesie przed Sądem Okręgowym w Warszawie, obrażony przez będącego świadkiem w sprawie funkcjonariusza policji, sześciokrotnie wypalił do niego z rewolweru. Sąd, uznając, że nastąpiło to pod wpływem silnych emocji, skazał go na tydzień aresztu.

Mecenas walczył o swojego klienta z gorliwością godną lepszej sprawy, argumentując między innymi, że Mazurkiewicz

zabijał obywateli nieprzydatnych państwu, jednostki „drugiej kategorii”:

„Jego ofiary (...) to dawni ziemianie, przedsiębiorcy oraz ludzie zajmujący się nielegalnym handlem złotem i dewizami, czyli zgodnie z doktryną humanizmu socjalistycznego, jednostki społecznie niepełnowartościowe. Pozbawienie takiej jednostki życia (...) wypada uznać za czyn mniej szkodliwy niż zabójstwo robotnika i nie godzi się orzekać za nie najwyższej kary”.

Twierdził też, że jako urodzony morderca, oskarżony po prostu nie mógł postąpić inaczej. Odwoływał się do popularnej przed wojną antropologicznej teorii przestępstwa, której twórcą był słynny włoski psychiatra, kryminolog i antropolog Cesare Lombroso. Dowodził, że cechy fizjologiczne jego klienta czynią go zabójcą z urodzenia, który musi zabijać i że nie jest w stanie powściągnąć swoich zbrodniczych instynktów, co z kolei powinno być uznane za okoliczność umniejszającą jego winę.

Niewiele jednak mógł zdziałać. Dowody były dosłownie miażdżące: przedstawiono broń, z której zabójca strzelał, rozpoznali go pokrzywdzeni, którzy przeżyli atak, a on sam przyznał się do winy, choć potem to odwołał. Nie pomogły też Mazurkiewiczowi perfekcyjnie skrojone garnitury i nienaganne maniery. Na nic zdały się koneksje w MO i UB. Co więcej, w trakcie procesu skarżył się nawet, że był bity przez śledczych, zastraszany i szantażowany, iż za kratki trafią jego bliscy. Nie krył, że tylko dlatego przyznał się do winy.

Najważniejszymi świadkami byli Tadeusz Bommer, niedoszły konsument bułki z szynką zaprawionej cyjankiem oraz Stanisław Łopuszyński, pan z kulą w głowie. Można było wyczuć, że ze względu na domniemane koneksje sprawcy, wielu ludzi jeszcze i wtedy bało się mówić. Marek Hłasko, który był sprawozdawcą sądowym z procesu Mazurkiewicza i który również wierzył w jego układy z UB, pisał po latach w *Pięknych dwudziestoletnich*:

„Proces był jedyny w swoim rodzaju. Mazurkiewicz był szpiclem i prowokatorem UB i świadkowie bali się otworzyć

mordę na procesie. Wszyscy wiedzieli, że pan Władzio jest mordercą, ale wszyscy myśleli, że wykonuje wyroki swych mocodawców z UB”.

– Z takimi, co ma takie stosunki jak Mazurkiewicz, że będąc zbrodniarzem chodzi po wolności, to lepiej nie zaczynać – stwierdził świadek Franciszek Grabowski.

„Cyniczny gracz życiem ludzkim” – określił Mazurkiewicza w swej mowie końcowej prokurator Zygmunt Piątkiewicz, który jedenaście lat później oskarżał również innego głośnego mordercę spod Wawelu, Karola Kota. Wypełniona po brzegi sala zamilkła, kiedy mówił: „Wysoki Sądzie! Wielki pisarz powiedział kiedyś: nie umiera nigdy zbrodnia, kiedykolwiek była dokonana. Czyż proces ten, straszliwy, ponury proces wielokrotnego mordercy Władysława Mazurkiewicza nie był ilustracją tych słów? Ujawnił on całą grozę i potworność czynów zbrodniczych oskarżonego. Stały przed nami w jaskrawym świetle przewodu sądowego, w świetle nagiej i brutalnej prawdy krwawe widma mordowanych skrytobójczo ofiar. Jawiły się nieubłagane jak duch Banka przed oczyma całej opinii publicznej, wołając wielkim głosem o pomstę i sprawiedliwość. Jawiły się też przed oczyma Mazurkiewicza, który może po raz pierwszy w życiu ugiął się przed straszliwym widokiem i zamilkł na sali sądowej. (...)

Nie tylko ja, nie tylko cienie mordowanych ofiar, nie tylko wdowy i sieroty po nich, nie tylko rodziny, ale cała opinia publiczna, cały świat pracy miasta Krakowa, zebrany tu, na sali, i tam, na ulicy, piętnuje z obrzydzeniem zbrodniarza i domaga się najwyższego wymiaru kary. Niech krwawe widmo Mazurkiewicza opuści raz na zawsze nasze miasto i jego piękne okolice, wybrzeża Wisły, wały Rudawy, wzgórze bielańskie, miejsca wypoczynku i radości ludzi pracy, które on wypełniał morderstwem i grozą. Niech krwawe widmo Mazurkiewicza opuści raz na zawsze nasze miasto i przejdzie do niesławnej pamięci jako najbardziej zwyrodniały twór tego środowiska, które podeptało godność i cześć człowieka pracy”.

Taki też wyrok otrzymał „krakowski upiór”. Sędzia Tadeusz Migdał ogłosił go 30 sierpnia 1956 roku. Za zabójstwo każdej ze swych ofiar i oba usiłowania skazany został odrębnie na karę śmierci przez powieszenie. Osiem razy. Pozostałe kary, wymierzone za handel walutą, posiadanie broni bez pozwolenia czy fałszowanie dokumentów, nie miały już właściwie znaczenia. Liczyła się tylko kara łączna: szubienica. Kiedy ogłaszano wyrok, tłumy zgromadzone na ulicach klaskały, wierząc, że oto wraz z wielokrotnym mordercą symbolicznie odchodzi w przeszłość epoka stalinowskiego terroru.

Dokładnie dwa miesiące później, 30 października, Sąd Najwyższy, do którego obrońca skierował apelację, utrzymał wyrok w mocy. Rada Państwa odmówiła prawa łaski.

31 stycznia 1957 roku Władysław Mazurkiewicz miał obchodzić swe czterdzieste szóste urodziny. Kilka dni wcześniej do jego celi w więzieniu przy ulicy Montelupich zawitał jeden z klawiszów.

- Ile ma pan lat? - zapytał.

- Za parę dni skończę czterdzieści sześć - zameldował skazany.

- No... nie wiem - uśmiechnął się strażnik.

Widać miał jakiś „cynk”, bo rzeczywiście, 29 stycznia o godzinie 16.30 kat pociągnął za dźwignię szubienicy i morderca zawisł na sznurze. Jego też do końca nie opuścił odpowiedni fason i dobry humor. Nie omieszkał mianowicie zadbać o to, by legenda „zabójcy-dżentelmena” miała odpowiednio barwne zakończenie. Zapytany o ostatnie słowa, miał podobno powiedzieć:

- Do widzenia, panowie! Niedługo spotkamy się tam wszyscy!

